



Porzucili swoje kariery i wyruszyli w rejs dookoła świata. Dziś, 7 lat później, Jessica (Jess) i James Lloyd-Mostyn są już małżeństwem, mają troje dzieci i... wciąż płyną.

26 TYSIĘCY MIL RODZINNEJ ŻEGLUGI

W 2010 roku byli po prostu parą, jakich wiele. James Lloyd-Mostyn (obecnie 48-letni) i Jess Barber (obecnie 36 lat), oboje pracujący w Londynie jako architekci, nie planowali wspólnej przyszłości, było im po prostu dobrze razem. Oboje mieli pracę, znajomych, przeciętne życie. Nic nie popychało ich do ucieczki od zwykłego świata. Pewnego razu jednak, stojąc na klifowym wybrzeżu w Kornwalii zapatrzili się w morze.

„Ech, fajnie byłoby wsiąść na łódkę i popłynąć razem przed siebie” – westchnęła Jess. Słyszając to, James wybuchł śmiechem. „Przecież ty nigdy nawet nie stałaś na pokładzie żaglówki, a na dodatek mówiłaś, że cierpisz na chorobę morską!” – niemal kwiczał z radości. Pomyśl jednak, choć tak brutalnie wyśmiany, zakorzenił się w ich głowach. I niedługo później, w przerwie pomiędzy kursami żeglarskimi, dobijali transakcji zakupu za 35



MARYNIA I FILIP GAWLIŃSCY
Stworzone przez nich Muzeum mieści się w przeniesionym ze Sztutowa do Krynicy Morskiej XIX-wiecznym, zabytkowym domu. Został on najpierw rozebrany na części, a potem skrupulatnie złożony zgodnie



FOT.: SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE



tys. funtów niedużego, 12-metrowego jachtu morskiego „Adamstor”. – Nawet wtedy nie myśleliśmy jednak o porzuceniu naszego dotychczasowego życia na stałe – uśmiecha się Jess. – Planowaliśmy mniej więcej 2-letnią podróż.

PORÓD W RYTMIE POLICYJNYCH SYREN

Kiedy więc w październiku 2011 roku wyruszyli na Atlantyk, swoją wyprawę traktowali raczej jak dłuższe wakacje, z których bogatsi o nowe doświadczenia wrócą do rodzinnego Londynu, do swoich karier, znajomych i – kto wie? – być może dalszego wspólnego życia. Popłynęli na południe, przez Zatokę Biskajską, wzdłuż wybrzeży Portugalii i Afryki na Wyspy Kanaryjskie, a później szlakiem przetartym kiedyś przez Krzysztofa Kolumba – w styczniu 2012 roku dotarli na Karaiby gdzie postanowili wyciągnąć swój jacht na brzeg i na lądzie przeczekać okres huraganów. Tak, jak sobie zaplanowali, nie spieszyli się. Często rzucali kotwicę w malowniczych zatoczkach, cieszyli się słońcem, wolnością i krystaliczną wodą. Niespiesznie opłynęli Haiti i Kubę, następnie Przylądek Jukatan i przez Kanał Panamski przedostali się na Pacyfik. A tam, znów w wakacyjnym rytmie, popłynęli wzdłuż południowego wybrzeża Meksyku. – Ludzie harują przez cały rok, żeby mieć dwa tygodnie wakacji – mówi Jess. – My postanowiliśmy tę prawidłowość odwrócić i mieć wakacje przez cały rok.

Skąd wzięli pieniądze na tę eskapadę? Z wynajmu londyńskiego domu Jamesa i mieszkania Jess. Żyli skromnie, starali się przemieszczać korzystając głównie z siły wiatru, więc wydawali na tyle mało (20 tys. funtów rocznie), że z zysku z wynajmów nawet im co nieco zostawało. W ich plany i leniwy dobrobyt wkraść się jednak pewien drobny zgrzyt. Otóż pod koniec roku 2012 Jess zaszła w ciążę. Nie był to jednak zupełny przypadek. Już wcześniej, w portach Wysp Kanaryjskich czy Kuby, widzieli na innych jachtach rodziców podróżujących z dziećmi. Nie wyglądali na umęczonych, nie musieli jakoś szczególnie pilnować maluchów. Byli zrelaksowani i szczęśliwi. Jess i James zaczęli

MARYNIA I FILIP GAWLIŃSCY

Stworzone przez nich Muzeum mieści się w przeniesionym ze Sztutowa do Krynicy Morskiej XIX-wiecznym, zabytkowym domu. Został on najpierw rozebrany na części, a potem skrupulatnie złożony zgodnie z zasadami niemal zapomnianej już sztuki budowlanej sprzed 200 lat. Dom ma 48 okien, materiałem ociepleniowym jest trzcina, ściany zostały wyłożone sukmem lnianym. Jego nieodłączną częścią jest wieża, z której w czasie „bezlistnych” pór roku można zobaczyć morze.

więc pół żartem, pół serio zadawać sobie pytanie: A co, gdybyśmy my też żeglowali z dzieckiem? – Kiedy okazało się, że Jess jest w ciąży, uznaliśmy, że zamiast przerywać naszą eskapadę, zrobimy w niej tylko przerwę na poród dziecka i czas połogu dla jego mamy – opowiada James. – Po długich wahaniach i internetowych poszukiwaniach uznaliśmy, że bezpiecznym miejscem na przyjazd na świat naszej córeczki będzie klinika położnicza w meksykańskiej Guadalaharze. Skierowaliśmy więc jacht na północ, tak planując wyprawę, by dotrzeć tam w bezpiecznym czasie, na 3 tygodnie przed terminem porodu.

W sierpniu 2013 roku zostawili więc swój jacht w porcie w zatoce Banderas i przesiedli się do autobusu zmierzającego do położonej w głębi lądu Guadalahary. Miał tam dojechać po 6 godzinach, ale... – W połowie podróży pojawiły się u mnie pierwsze skurcze porodowe! – wspomina Jess. Przerazili się nie na żarty. Czy przyjdzie im powitać dziecko na szosie przecinającej meksykański interior? Ale cóż było robić? James starał się uspokajać partnerkę, a Jess mogła tylko równomiernie i głęboko oddychać przeczekując regularne, pojawiające się co 3 minuty skurcze. Leżała na kocu rozłożonym na podłodze autobusu wzdychając: „O mój Boże! To się naprawdę dzieje!”. W ten sposób udało im się bezpiecznie dotrzeć do miasta, ale czas był już najwyższy. Prosto z dworca autobusowego, w asyście syren policyjnych radiowozów, pognali taksówką do kliniki. – Na szczęście nasza córeczka, którą nazwaliśmy Rocket, choć urodziła się ważąc zaledwie 2,3 kg, była zdrowa i silna – cieszy się James. – Ja mogłem odetchnąć, a Jess zacząć powoli odzyskiwać siły.

Kiedy po 5 tygodniach spędzonych w Guadalaharze wrócili z niemowlęciem do portu w zatoce Banderas, przyjęto ich tam owacyjnie. Kierownik mariny zachowywał się, jak rozkochana w bobasie ciotka, inne żeglarskie rodziny wciąż wpraszały się na kinder bale, a Jess... musiała nauczyć się dokowania łodzi z dzieckiem w nosidełku.

KAMIZELKA RATUNKOWA ZAMIAST WÓZECZKA

Wczesną wiosną następnego roku znów wyruszyli w drogę. Tym razem, z 8-miesięcznym dzieckiem na pokładzie, skierowali się przez Pacyfik w stronę Nowej Zelandii. Pierwszy „skok” – z Meksyku na należące do Francuskiej Polinezji Markizy zajął im 28 dni. – Kiedy wyruszyliśmy, wiele osób łapało się za głowy mówiąc, że taki rejs jest groźny dla dziecka – wspomina Jess. – A to nieprawda! Łodzie są bardzo „dzieckoodporne”. Wszystkie szafki są poprzytwierdzone do ścian, żadna się więc na malucha nie przewróci, w kajutach nie ma też ostrych krawędzi, a sam jacht, w spokojny dzień, porusza się z prędkością 5 węzłów (9 km/h). Cóż to jest w porównaniu z samochodem jadącym 50-tką do

wożącym malucha do żłobka? – Zaskoczeniem było dla nas natomiast to, ile śmieci wytwarza trzyosobowa rodzina – podkreśla James. – Dopiero na morzu, gdzie nie ma przecież podjeżdżającej pod dom śmieciarki, widać te wszystkie pieluszki, waciki, papierowe chusteczki i ręczniki wypełniające worki! Stałiśmy się więc z Jess bardziej przyjaźni dla środowiska zamieniając np. jednorazowe pieluszki na te wielokrotnego użytku, tetrowe.

Płynąc, dbając o siebie nawzajem i, przede wszystkim o córeczkę, James i Jess zrozumieli, że są dla siebie stworzeni. Nigdy się nie kłócili, rozumieli w pół słowa, czuli szczęśliwi, na swoim miejscu. Ich życie płynęło naturalnym, regulowanym tylko liczbą kolejnych przepłyniętych mil rytmem. Rocket zaczęła pęlsać, kiedy byli na środku Pacyfiku, raczkować gdy zawijali na Bora Bora (tam obchodziła też 1 urodziny), a pierwszy kroczek na pokładzie postawiła, kiedy dotarli do Królestwa Tonga. Uznali więc, że chcą mieć więcej dzieci. I... że muszą się pobrać. – Ślub odbył się w 16 godzin od chwili, kiedy Jess przyjęła moje oświadczenie – opowiada James. – Wzięłem małżeńskim połączyliśmy się na wyspie Fidzi.

Pod koniec roku 2014 okazało się, że Jess jest w ciąży. Przybili więc do wybrzeży Nowej Zelandii i wynajęli tam niewielki domek. Był położony na odludziu, godzinę jazdy od najbliższego szpitala. – Kiedy więc w sierpniu 2015 roku zaczęłam rodzić, zaraz przypomniała mi się ubiegłoroczna, koszmarna podróż do Guadalahary – mówi Jess. – I postanowiłam urodzić w domu. Po blisko 3 latach spędzonych na morzu, była to dla mnie zupełnie naturalna decyzja. Czuję się silna!

Synek Indigo przyszedł na świat zaledwie w 4 dni po drugich urodzinach Rocket, w łazience wiejskiego domku. W przeciwieństwie do siostry, nie spieszył się na świat – urodził się w 42 tygodniu ciąży i ważył 3 kg. A niedługo później małżonkowie znów wyruszyli w podróż! Tym razem już jako 4-osobowa rodzina.

– Na jachcie, wbrew pozorom, jest jednak dla nas wystarczająco dużo miejsca – wyjaśnia James. – Poza swoistym tarasem widokowym, jakim jest pokład łodzi, mamy też dwie dwuosobowe kajuty, mały kambuz (kuchenkę) i sporą mesę (jadalnię). Jest więc całkiem sporo przestrzeni dla dzieci, a jedyną różnicą w ich wychowaniu (poza tym, że zamiast na podwórku czy



skwerze spędzają czas baraszkując w wodzie lub pływając kajakiem) jest to, że zamiast w wózki i chodziki wyposażyliśmy je w kamizelki ratunkowe. Córka i synek wspaniale się zresztą odnaleźli na ich rodzinnej łodzi. Są ciekawi żeglarstwa, rwą się do steru i do wspinania na maszt, ciągle o coś pytają i chcą pomagać rodzicom zarówno w nawigacji jak i wypieku chleba. A także, czy to na nowozelandzkiej czy na indonezyjskiej plaży, szybko znajdują przyjaciół. Różnorodność ludzi, ich języków, kultur i światów jest dla nich czymś naturalnym, oczywistym.

PIĄTY CZŁONEK ZAŁOGI

W poszerzonym gronie, rodzina wyruszyła dalej – ku Vanuautu, Wyspom Salomona i atolom Papui Nowej Gwinei. Żeglując spokojnie, spędzając większość czasu na lądzie zwiedzając, plażując, pływając, w maju 2018 roku wyciągnęli łódź na brzeg w porcie Lombok w Indonezji. I polecili samolotem do Anglii, żeby w Londynie, w październiku 2018 roku, powitać na świecie swoje trzecie dziecko – córeczkę Autumn.

Czy to koniec przygody? Przecież w ciągu 7 lat przepłynęli 26 tysięcy mil morskich, odwiedzili 36 krajów i 2 oceany. No i do-

☞ KRZYSZTOF KWIATKOWSKI

GÓRSKY RATOWNICY W ROMANCE TV! Pełne akcji misje ratunkowe, walka o ludzkie życie, gorące uczucia, a w tle piękne i niebezpieczne Alpy – to wszystko do zobaczenia w jubileuszowym sezonie „Górskich ratowników”. W nowych odcinkach ratownicy zarządzają niebezpieczną i spektakularną akcją ratunkową, w której Klemens Berger wpada do rzeki. Wszystkie poszukiwania kończą się niepowodzeniem. Czy na pewno uszkodzony chce być odnaleziony?

„Górscy ratownicy”, sezon 10., premiera 23.04.2019, od poniedziałku do piątku, godz. 21.00

Tylko w Romance TV!